



2

Tanie źródło
towarów
bławatnych

4

Płat polski.
Historia
konstruktora
z Lublina

6

Instagram
jak kabina
pilota

7

Czy to się dzieje
naprawdę?
Komiks



Prototyp samolotu PZL P.1, pierwszej konstrukcji Zygmunta Puławskiego [zbiory Mirosława Gajewskiego udostępnione przez Kazimierza Puławskiego]

SNY O LATANIU

Kiedy Zygmunt Puławski chodził do szkoły Vetterów, marzył o budowaniu łodzi podwodnych. To marzenie akurat się nie spełniło, ale mimo swojego krótkiego życia zdążył zapisać bardzo ważną kartę w historii polskiego lotnictwa. W wieku zaledwie 26 lat został kierownikiem Grupy Konstrukcyjnej w Centralnych Warsztatach Lotniczych w Warszawie, przekształconych w 1928 r. w Państwowe Zakłady Lotnicze. Puławski miał 29 lat, kiedy pilotowany przez niego samolot rozbił się na ulicach Warszawy. Zmarł wkrótce po przewiezieniu do szpitala.

W naszej opowieści o niepodległości Zygmunt Puławski, obok poety Józefa Czechowicza i architekta Józefa Szanajcy, jest kluczową postacią. Kiedy po odzyskaniu niepodległości kraj potrzebował ludzi gotowych do podjęcia wysiłku odbudowy państwa, oni

wywiązali się z tego zadania znakomicie. Dla Lublina są szczególnym symbolem odradzającej się Polski.

Urodzili się rok po roku – pierwszy Puławski, w 1901 roku, następnie Szanajca w 1902 i Czechowicz w 1903. Puławski z Szanajcą chodził do tej samej szkoły, Czechowicz uczył się wtedy w Seminarium Nauczycielskim, urządzonym w budynku dzisiejszego Wojewódzkiego Domu Kultury przy ul. Narutowicza 2. Jeśli nie znali się osobiście,

mogli mijać się w drodze do szkół.

O tym, dlaczego konstrukcje Puławskiego były tak cenione i co spowodowało katastrofę, w której zginął piszemy na stronach 4-5.

Historia Lublina ma jednak znacznie więcej lotniczych wątków. Choć marzenie o pasażerskim lotnictwie miasta spełniało się bardzo długo, bo z Portu Lotniczego Lublin w Świdniku latać możemy dopiero od 2012 roku, to tak naprawdę Lublin swoje lotnisko miał znacznie

wcześniej – przy fabryce samolotów na Bronowicach. Na przyfabrycznym pasie startowym wyrosło niedawno nowe osiedle mieszkaniowe. Ale w całkiem niezłym stanie przetrwał do naszych czasów hangar, w którym odbywał się montaż maszyn. Znajdziemy go na rogu Drogi Męczenników Majdanka i ul. Wrońskiej.

To właśnie tu do pracy przyjechał bohater naszego kolejnego tekstu – Władysław Świątecki. Z fabryki odszedł i założył własną firmę. Najpierw przy ul. Chopina, później Lubartowskiej. Produkował w niej wyrzutniki bombowe, które kupowały od niego armie Rumunii czy Jugosławii. Z władzami miasta żył w konflikcie, bo te bały się zaproszenia ognia w centrum. Więcej na s. 3.



Zdjęcie
z kolekcji
Jerzego
Kielszni

W 2006 roku Tomasz Czajkowski z Pracowni Historii Mówionej Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” przeprowadził w Izraelu wywiad z Różką Doner, rodowitą lublinianką, urodzoną w 1920 roku. „Czy pamięta pani ulicę Świętoduską?” – zapytał. Odpowiedziała krótko: „Przed wszystkim moja mama miała tam sklep z lokciną!”. Siedemdziesiąt lat wcześniej, w 1934 roku, Stefan Kielsznia wykonał serię zdjęć ulicy Świętoduskiej, a wśród nich budynku pod numerem 18. Nad wejściem, oblepionym wymalowanymi belami tekstyliów, góruje szyld: „Tanie źródło towarów bławatnych”. Pod nim, poniżej okienka z wybitą szybką, zawieszona jakby przypadkiem, skromna, biała plakietka nie szersza od grzbietu zwykłej książki. A na niej? Nazwisko właścicielki: „S. Fiszader” – matki Różki Doner.

Syma Fiszader urodziła się w 1890 roku w rodzinie Goldbaumów. Jej przyszły mąż Hersz Fiszader uczył się początkowo w jesiwiu, ale przejęte jego losem siostry wysłały go na kurs krawiectwa do Warszawy. Kiedy dostał do rąk nożyce i igłę zapomniał zupełnie o karierze rabina i ciął, wykrawał, zaszywał i doszywał, aż został jednym z najlepszych krawców męskich w Lublinie. Po ślubie małżeństwo Fiszaderów zamieszkało przy Świętoduskiej 18, w ruchliwej i handlowej dzielnicy sąsiadującej z dwoma targami. W głębi budynku, w ich mieszkaniu, znajdowała się pracownia krawiecka Fiszadera, zatrudniająca dziesięciu zdolnych pracowników. „Ojciec był nie tylko rzemieślnikiem, on był prawie artystą! – opowiadała Doner. – Do niego przyjeżdżali ludzie specjalnie z Warszawy, miał też stałych klientów księży”. Doszło nawet do tego, że



Sklep bławatny Symy Fiszader przy ulicy Świętoduskiej 18 w Lublinie. Fot. Stefan Kielsznia, 1934 r.

TANIE ŹRÓDŁO TOWARÓW BŁAWATNYCH

dostawał tyle zleceń, że niektóre musiał oddawać konkurencji. Od frontu budynku ulokował się natomiast sklep Symy Fiszader, która szczyła się tym, że w jej składzie ceny były zawsze te same. „Od pierwszej chwili zaprowadziła stałe ceny” – wyjaśniała Doner. Do „Taniego źródła towarów bławatnych” po materiały sprowadzane z Łodzi przychodzili głównie chłopcy z pobliskiego targu. „Moja mama była bardzo porządnym człowiekiem, nie oszukiwała nikogo i nie zdejmowała centymetra. W 1938 roku zrobiłam maturę, potem kurs buchalterii i trochę pomagałam jej w sklepie. Przychodzili chłopcy i bardzo chcieli, żebym to ja im sprzedawała” – dodała śmiejąc się. „A inne sklepy?” – dopytywał Tomasz Czajkowski. „Obok była pijalnia piwa... – mówiła. – Był »Łabęcki«, to znana firma, myślę, że nawet dzisiaj jest. To jest pralnia o bardzo dobrym imieniu”. Przez wiele lat interes Symy Fiszader miał się nieźle,

ale z czasem coraz trudniej było jej płacić bieżące zobowiązania i na dwa miesiące przed wybuchem II wojny światowej musiała ogłosić plajtę. Różka Doner przeżyła wojnę i potem przez kilka lat mieszkała w Lublinie, ale przez Świętoduską już tylko przemykała. Nie poznawała swojego rodzinnego miasta i w 1949 roku przeprowadziła się do Łodzi, a potem wyemigrowała do Izraela. „Pamiętam – opowiadała – że moja mama chodziła na targ przy Świętoduskiej kupować żywe kury. Zawsze dmuchała w kuper patrzeć, czy mają wystarczająco dużo tłuszczu. A my dzisiaj patrzymy, żeby kura była jak najchudsza. Czasy się zmieniły, nie ma co”.

Piotr Nazaruk

Na podstawie relacji Różki Doner nagranej w 2006 roku przez Tomasza Czajkowskiego.



Rodzina Fiszaderów, od lewej: Debora, Samuel, Hersz, Syma i Różka, lata 30. XX w. [zbiory Różki Doner]



HISTORIA MÓWIONA

Zabawy z dzieciństwa

Bawiliśmy się w najróżniejsze [zabawy] – i w skakanki, i w klasy, i w jakieś odbijanie piłki od ściany, a to przez plecy, a to przez nogę, zawody takie były. [Z zabawek] miałam ulubioną lalkę, [która] nazywała się Kundzia, była bardzo brzydka, długa taka, gałganiana. [Były też] takie lalki, nazywały się śpiące, [ich porcelanowej] głowy ciągle się były. Jedną z tych lalek to jeszcze [miałam, jak do] gimnazjum chodziłam, [jeszcze z nią] spałam. A potem mamusia wyrzuciła ją, bo była zniszczona okropnie.

Zofia Tarka, ur. 1922

Ulica Leszczyńskiego była wybrukowana kocimi łbami, nie miała chodników, a wzdłuż ulicy rosły duże drzewa. Jak były letnie burze to my dzieci pięć-, sześć-, siedmioletnie, w rynsztokach bawiliśmy się biegając na bosaka. Woda płynęła od ulicy Wieniawskiej, a my bawiliśmy się w wysięgi, puszczając zapalki, kawałki drewnienek. (...)

Od wiosny do później jesieni spędzałam dużo czasu na basenie przy Lubomelskiej. Ten basen był pięćdziesięciometrowy, a więc duży. Jego zaletą było to, że był dosyć płytki i był bezpieczny. Po prawej stronie, tam gdzie były słupki startowe i odbywały się zawody pływackie, było około dwóch metrów dwudziestu centymetrów albo dwa metry pięćdziesiąt centymetrów, natomiast od strony zachodniej było w granicach sześćdziesięciu, może osiemdziesięciu centymetrów. Dno łagodnie przechodziło od płytkiego do głębokiego. Tam była rozbielalnia. Basen był ogrodzony. Kupowało się bilety u pani Łodzi. Gospodarzem miejsca był pan Piotr Selwa, który gonił tych, którzy chcieli przez płot przejść nie płacąc za bilety.

Andrzej Żołnierowicz, ur. 1943

Dawniej, wśród moich koleżanek, największą popularnością cieszyło się szycie ubranek dla lalek. Teraz dziewczynki też pewnie robią takie rzeczy. Pamiętam, jak w parku, na Słomianym Rynku rozkładaliśmy koce, brałyśmy jakieś jedzenie i picie ze sobą to wyglądało prawie jak piknik. Przynosiłyśmy różne zabawki, bawiliśmy się. Było też jakieś bieganie, chłopcy nawet grali w kłipy, ale dziewczęta to już raczej nie.

Barbara Klepacka, ur. 1960

Grało się w palanta. Były dwie drużyny, jedna drużyna piłkę odbijała specjalnymi kijami, które były robione tak, że jeden koniec był grubszy. Piłki robiliśmy z gumy lanej i się odbijało. W technikum to graliśmy też w cymbergaja.

Henryk Przystupa, ur. 1938

Nasze zabawy na ulicy Niecałej. Najchętniej bawiliśmy się w chowanego i graliśmy w piłkę. Piłkę odbijało się, rzucało się na ścianę, i w tym [czasie], zanim ta piłka upadła na ziemię, musiał być obrót. Trzeba było się obrócić i złapać piłkę. Można było godzinami się

w to bawić. Bawiliśmy się także w klasy – to polegało na skakaniu, przesuwanie kamyka. [Trzeba było] skakać na jednej nodze i przesuwać nogą kamyk czy szkiełko. Z klasy do klasy, z klasy do klasy. Klasy były narysowane na chodniku. I jeszcze była zabawa skakanką. Skakanka była zrobiona tylko ze sznurka, ale tak wyćwiczyliśmy się, że to nawet mógłby być pokaz,

dlatego, że z długą skakanką mogło wskakiwać nawet dwie i trzy osoby i potem wyskakiwać pojedynczo.

Zofia Siwek, ur. 1937

Z koleżankami, z dziećmi z domu graliśmy w dwa ognie albo robiliśmy sobie teatr. Robiliśmy to, co wszystkie dzieci w tym wieku. Graliśmy w klasy. Że ja jeszcze to pamiętam! [Była taka gra] wojna. Stoi z jednej strony grupa i z drugiej strony, i każdy mówi: „Królu, królu! Wydaj wojnę!”. I napadają jedni na drugich.

Regina Winograd, ur. 1927

Pamiętam, że z rodziną to szło się do parku. Tam była waga, takie duże krzesło i siadało się na ten fotel i można się było zważyć. To było wielką atrakcją dla dzieci. Atrakcją w parku był też zegar słoneczny. Do parku to były takie grzeczne wyprawy. Szło się z mamusią za rękę i trzeba było się odpowiednio ubrać. A najchętniej [bawiliśmy się] albo na podwórku, albo w okolicach domu. Tam były jakieś krzaki i pamiętam, że chłopcy z naszej kamienicy poprzecigali pomiędzy poszczególnymi krzewami cienkie linki z miedzianych drutów na wysokości kolan i powiedzieli: „Chodźcie, będziemy się bawić w chowanego”. Tych linek nie było widać, a oni wiedzieli, że jak my będziemy uciekać, to się poprzecigamy. Takie kawały nam robili.

Ludomira Bendik, ur. 1927

Wyb. Wioletta Wejman

Po lewej: Portret dziewczynki wykonany najprawdopodobniej w Ogrodzie Saskim w Lublinie, lata 20/30 XX wieku, fot. Abram Zylberg, [kolekcja szklanych negatywów z kamienicy Rynek 4]



165 TYSIĘCY WYRZUTNIKÓW I JEDEN ROWER

Kiedy na całym świecie powstawały pierwsze bombowce, należało w bezpieczny sposób rozwiązać prosty, ale wybuchowy problem. Jak połączyć samolot z bombą, by: po pierwsze: maszyna i załoga bezpiecznie wystartowali, po drugie: bomba pozostawała w tym samym miejscu podczas lotu i manewrów, po trzecie: łatwo odczepiała się od samolotu w odpowiednim miejscu.

W fenomenalny sposób rozwiązał to Władysław Świątecki. Wyrzutniki bombowe z Lublina zaopatrywały się europejskie armie, ale nie polskie lotnictwo.

KOLEJKA PAŃSTW PO LICENCJĘ

Władysław Świątecki do Lublina przeniósł się z Warszawy, gdzie urodził się w 1895 roku. Studiował w Petersburgu i Paryżu. Nad Sekwaną ujawnił się jego talent konstruktora wyrzutników bombowych. Pierwsze jego pomysły okazały się znacznie lepsze niż te francuskie. Wydawałoby się, że drzwi do kariery otworzyły się przed nim szeroko. Najpierw wrócił do Warszawy, po czym zgodnie ze służbowym poleceniem stolicę opuścił. Podjął pracę w Zakładach Mechanicznych Plage i Laśkiewicz w Lublinie. W 1927 roku na Bronowicach uruchomił dział wyrzutników bombowych. Coś jednak szło nie tak, więc konstruktor, który nie dogadał się z Ministerstwem Spraw Wojskowych i właścicielami firmy, opuścił zakład. W 1930 roku z fabrycznej hali przeniósł się do baraków przy ulicy Chopina 4. Tam, razem z inżynierem Bohdanem Marchwińskim, uruchomił ręczną obróbkę różnego rodzaju metali z wykorzystaniem dwóch wiertarek i tokarki. Produkcja szła na eksport.

Już w 1929 roku Świątecki sprzedał swoje wyrzutniki do Rumunii. Historycy orzekli, że „była to pierwsza udana próba eksportu polskiego sprzętu lotniczego”. W Rumunii zamontowano je do francuskich samolotów Potez XXV. W 1931 roku zakupiła je armia jugosłowiańska do samolotów angielskich Hawker Fury. W 1937 ponownie dobił targu z armią rumuńską, ale do maszyn włoskich Savoya 79 B, wygrywając przetarg z wyrzutnikami firmy niemieckiej. Sprzedał też Świątecki licencję Francuzom, którzy z kolei udostępnił ją Włochom. W sumie licencja trafiła jeszcze do Belgii, Hiszpanii, Holandii i Portugalii. Na początku 1939 roku wyposażył samoloty armii jugosłowiańskiej. Tuż przed wybuchem II wojny światowej, 7 sierpnia 1939 roku, gotowość zakupu wyrzutników, jak i licencji na uruchomienie produkcji przedstawiły rządy Francji i Anglii. Zainteresowane były również rządy Szwecji i Łotwy.

BEZ PRÓB POWIETRZNYCH

W Lublinie Świątecki nie miał łatwej drogi. Spierał się z władzami samorządowymi. Obróbka metali, prowizoryczne ogrzewanie pomieszczeń, baraki pokryte papą, to wszystko mogło doprowadzić do zaprószenia ognia – w samym centrum miasta. Władze miasta naciskały na Świąteckiego i w końcu odmówiły mu prawa produkcji wyrzutników na blisko rok. Po tych przepychankach nie pozostało mu nic innego, jak zmienić siedzibę firmy. W 1934 roku przeniósł się na ul. Lubartowską 50. Nowa siedziba dała możliwości rozbudowy firmy. Kupił nowe maszyny, m.in.: obrabiarki, frezarki, szwajcarskie, niemieckie i francuskie gwinciarke. Przed wojną zatrudniał aż 40 pracowników.

Polscy wojskowi późno przekonali się do rozwiązań z Lublina. Przyznać trzeba, że montowano wyrzutniki z Lublina w samolotach dla marynarki wojennej. Nigdy jednak nie stały się oprzyrządowaniem podstawowym. Władze wojskowe wołały wyrzutniki Michelin. Świąteckiemu odmówiono nawet możliwości przeprowadzenia prób powietrznych. Grożono, że zostanie pozbawiony praw licencyjnych. W konsekwencji PZL.23 „Karas” i najsłynniejszy polski bombowiec PZL.37 „Łoś” wyposażone były w zawodne i przysparzające wielu problemów wyrzutniki innego typu, „Karas” w przeróbki wzorów francuskich. Dopiero w 1939 roku konstruktor z Lublina uzyskał duże zamówienie ze strony polskiego lotnictwa.

14 WZORÓW UŻYTKOWYCH

Wybuchła wojna. Świątecki zniszczył całą dokumentację. Wraz z żoną wyjechał do Wielkiej Brytanii przez Rumunię i Francję. Interesujące aliantów konstrukcje przekazał im nieodpłatnie. Anglicy podczas II wojny światowej wyprodukowali około 165 tysięcy wyrzutników według pomysłu Świąteckiego. To nie koniec. Ulepszone przez Jerzego Rudlickiego, innego lubelskiego konstruktora, wyrzutnik Świąteckiego był stosowany w amerykańskich legendarnych „latających fortecach”, bombowcach Boeing B-17. Inżynier zmarł nie doczekawszy ko-

ca II wojny światowej, 28 kwietnia 1944 roku. Można przypuszczać, że przyczynił się do jej wyniku na froncie zachodnim.

Władysław Świątecki produkował także rowery. Sprzedawał je przy ul. Królewskiej 11. Jeden z niewielu zachowanych egzemplarzy, być może nawet jedyny, w 2017 r. po latach wrócił do Lublina. Miesiącami poszukiwał go Piotr Kańczugowski z Lubelskiego Towarzystwa Retro Cyklistów. Kwoty, za jaką nabył przedwojenny egzemplarz, nie zdradził, ale z pewnością musiał mieć swoją cenę. Historię też. Zrobiony u Świąteckiego rower należał do urodzonego w 1907 roku w Wilnie Jana Rymaszewicza, członka Armii Krajowej okręgu wileńskiego. Dwa dni przed Wigilią 1944 roku aresztowało go NKWD. Został zesłany w głąb ZSRR na dwa lata, gdzie pracował między innymi w kopalni. Po wojnie wraz z poślubioną w 1944 roku żoną zamieszkał w Sopocie. Ukończył Politechnikę Gdańską. Zmarł w 2001 roku. Po jego śmierci rower leżał zaniedbany.

To właśnie dzięki rowerom Świątecki mógł budować wyrzutniki, a jego firma, kiedy brakowało zamówień, mogła przetrwać. Uzyskane ze sprzedaży rowerów pieniądze przeznaczał na rozbudowę parku maszynowego. Był zapaleńcem, który ciągle udoskonalał swoje wyrzutniki. W Urzędzie Patentowym w latach 1919-1939 zarejestrował 14 wzorów użytkowych.

Świątecki w Lublinie odnosił ogromne eksportowe sukcesy.

Ale nie tylko on. Dla przykładu Jarosław Caudra, przy ul. Krętej w Lublinie, robił najlepsze na świecie wagi. Może gdzieś na strychu stoi ostatni egzemplarz. Sprawdźcie, jak poprawnie działa.

Łukasz Kijek



Rower wyprodukowany przez fabrykę Władysława Świąteckiego w Lublinie

GARBERAJ-FABRIK fun P. Brikman

„Lubliner Tugblat”, 26 marca 1937

W Lublinie działa wiele garbarni, dzięki czemu miasto stało się jednym z głównych ośrodków przemysłu garbarskiego w Polsce. Jednym z większych zakładów jest garbarnia pana Pejsacha Brikmana, stąd warto przybliżyć jej historię. Garbarnia została założona w 1902 roku i wytwarzała wówczas jedynie skórę końską. Zakład był wtedy dość prymitywnie urządzone, nie posiadał najnowszego wyposażenia mechanicznego i napędzany był jedynie siłą ludzkich mięśni. Kiedy garbarnia stała się własnością pana Brikmana, rozpoczęła się dla niej nowa era. Od tej chwili przestała być „fabryczką” z 25 pracownikami, ale stała się fabryką w pełnym tego słowa znaczeniu, zatrudniającą dziś 80 robotników, a razem z personelem technicznym i biurowym w sumie 90 osób.

Obecnie fabryka wyposażona jest w najnowsze osiągnięcia techniki. Posiada maszyny parowe

o mocy 100 koni, kocioł parowy z nowoczesnym ceglany kominem, silniki elektryczne, wszelkie potrzebne urządzenia służące do garbowania i produkcji różnego rodzaju skór. Fabryka wytwarza skórę podeszwową, pasy blankowe i jucht w ilości od 700 do 800 skór tygodniowo. Ostatnio produkuje również skórę chromową, chromowe bukatowe waszety (czarne i kolorowe), które dzięki solidnemu wykonaniu i wysokiej jakości natychmiast zyskały sobie dobrą opinię. Każda fabryka ma swoją specjalność, w przypadku garbarni pana Brikmana wyrobem takim są najlepsze w całej Polsce juchty. Zakład nie tylko rozwinął się na produkcji, ale także rozbudował. Wzniesiono nowe budynki na wzór najlepszych zagranicznych fabryk. Jednym z istotnych atutów, za które pan Brikman zasługuje na szczególne uznanie jest fakt, że mimo kryzysu gospodarczego, który głęboko dotknął przemysł

w Polsce, jego garbarnia do chwili obecnej nawet na jeden dzień nie przerwała pracy.

Właściciel zakładu, pan Brikman, jest naszym krajanem z Lublina. W branży skórzanej działa od młodości. Znany jest jednak nie tylko w kręgach kupieckich ze swoich osiągnięć w fabryce, ale także z dużych darowizn – które skromnie, cicho, bez szczególnej pompy przekazuje na rzecz wszystkich bez wyjątku instytucji kulturalnych i społecznych oraz szanowanych osób. W kręgach handlowych fabryka posiada szczególnie dobrą opinię dzięki szybkiemu regulowaniu płatności.

„Garberaj-fabrik fun P. Brikman (ihr entstehung un entwiklung)”, „Lubliner Tugblat”, nr 73, 26 marca 1937 roku.

przeł. Piotr Nazaruk

Słowniczek:

blank – wyprawiona skóra bydlęca lub świńska, stosowana najczęściej do produkcji galanterii, siodła, uprzęży dla koni, chomąt itp.,

jucht – wyprawiona skóra bydlęca, nieprzemakalna, zwykle używana do produkcji cholewek,

bukat – skóra z rocznego bydła,

waszet – przednia część skóry końskiej, wykorzystywana do produkcji rękawic, ubrań, galanterii. Część przYGONOWA skóry końskiej nazywana była zadem lub lustrem.

POLSKI PŁAT

Historia konstruktora z Lublina

Zygmunt Rafał Puławski był najlepszym polskim konstruktorem samolotów myśliwskich w latach trzydziestych XX wieku. Może nawet najlepszym na świecie, biorąc pod uwagę sukcesy jego konstrukcji na konkursach międzynarodowych.

Urodził się 24 października 1901 r. w Lublinie. Pochodził z rodziny robotniczej. Ojciec Zygmunta, Wojciech, pracował w Fabryce Maszyn Rolniczych i Odlewni Żelaza „M. Wolski i S-ka” w Lublinie, mieszczącej się przy ulicy Foksal, dzisiejszej 1 Maja. Matka Zygmunta, Kazimiera z Szumillów, zajmowała się domem i wychowaniem dzieci – oprócz niego jeszcze Marii, Zdzisława i Kazimierza. Zygmunt Puławski росł najpierw przy ulicy Foksal a następnie Zamojskiej 25/19.

1 września 1911 roku rozpoczął edukację w klasie wstępnej siedmioklasowej Szkoły Handlowej Męskiej im. A. i J. Vetterów w Lublinie. Nauka nie sprawiała mu trudności. Był uczniem bardzo zdolnym i ambitnym. Swym wyróżniającym się postępowaniem zjednał sobie w szkole nie tylko grono nauczycielskie, ale też kolegów. Za duże sukcesy w nauce otrzymywał nagrody książkowe. Zdobył też nagrodę publiczną i stypendium.

MARZENIA O BUDOWIE ŁODZI PODWODNYCH

Rodzina Zygmunta Puławskiego nie należała do zamożnych. Praca ojca pozwalała na bardzo skromne utrzymanie sześciuosobowej rodziny. Sytuacja ta zmuszała młodego

Zygmunta do zarobkowania. Robił to, co umiał najlepiej, udzielał płatnych korepetycji – podobno już od czwartej klasy. Jego najmłodszy brat, Kazimierz Puławski, mówił, że Zygmunt czasem nie brał za korepetycje pieniędzy. Rozumiał trudną sytuację materialną rodzin znajomych. Z wielką pasją działał także w harcerstwie. W szkole prowadził V drużynę, organizował wiele ciekawych imprez. W 1920 roku zdał maturę. Do egzaminów przygotowywał się starannie. Nie miał jeszcze do końca sprecyzowanych planów dalszej edukacji. W zbiorach rodzinnych Kazimierza Puławskiego zachowały się notatki Zygmunta, w których napisał pod datą 29 czerwca 1920 roku: „Miałem projekt pójścia do podchorążówki, stamtąd do akademii wojskowej, ale poświęcę się marynarce. Teraz skończę, tj. za cztery lata daj Boże, politechnikę, stamtąd do marynarki, do budowy łodzi podwodnych”.

Wcześniej jednak, w maju, była matura i – zapewne – pierwsze zakochanie. Była to Janka. Zygmunt pisał wtedy pamiętnik. Zanotował w nim pod datą: „18 maja 1920 r. Pierwszy egzamin. Rano poszedłem do kościoła. Modliłem się nawet za Jankę. Prawdopodobnie będzie zerwanie. Pisałem „Dwór i zaścianek w powieści Elizy Orzeszkowej Nad Niemnem”.

Pierwsza i – jak się okazało – nieodwzajemniona miłość nie przeszkodziła Zygmunutowi w nauce. Do 22 maja 1920 r. zdał egzaminy z buchalterii, algebry, geometrii i języka niemieckiego. Z kolei w dniu 27 maja 1920 r. zanotował w pamiętniku kilka bardzo ważnych zdań: „(...) Bogatym to dobrze, gdzie wystarczy tytuł za wszystko. Kto ma pieniądze wszystko może zdobyć, prócz rozumu. Tak! Ja o ile mam wartość to tylko dlatego, że mam rozum i pracę cenię i pracuję. Ja zwyciężę na politechnice rozumem i pracowitością, a do tego przyczyniło się też harcerstwo. Zwycięzę trud wykładów i pracy, zwyciężę żądzę życia. Przede mną przyszłość, więc wszystkie swe siły do dopięcia celu. Mierz siły na zamiary. Czuwaj!”.

Jako studia wybrał ostatecznie Wydział Mechaniczny na Politechnice Warszawskiej. Nauka była jednak bardzo kosztowna. Rodzice nie byli w stanie pomóc mu w utrzymaniu w wystarczającym stopniu. Postanowił więc zarobić w okresie wakacji 1920 roku, przynajmniej na początek studiów. Wyjechał do ma-



Klucze samolotów PZL P.11 [zbiory udostępnione autorowi przez Andrzeja Glassa]

jątku Knochów w Nowej Wsi koło Kutna, gdzie prowadził lekcje z siedmioletnim synem ziemianina. Do Lublina powrócił w sierpniu 1920 roku. W kraju trwała wojna z bolszewikami. Natychmiast podjął służbę w harcerskim batalionie. Napisał wówczas w pamiętniku: „(...) Harcerskie przedstawienie sprawy, walki za ojczyznę, zwłaszcza teraz. Sądzę i mam taki zapał, że choć jest bardzo źle, to musimy poprawić. Gorzej jest ze sprzedawczykami, tych trudno usunąć. Harcerstwo może tylko wydać ludzi, którzy zbawią Polskę. Czuwaj!”.

PRAKTYKI U BREGUETA WE FRANCJI

Szczęśliwie kraj się obronił i jesienią 1920 roku Zygmunt Puławski rozpoczął studia. Zarobione w okresie wakacji pieniądze szybko się skończyły. Brak środków na utrzymanie zmusił go ponownie do udzielania płatnych korepetycji. Wiedzę techniczną chłonął jednak w zadziwiający sposób. Puławski budził respekt i szacunek. Koledzy byli z niego dumni, a profesorowie wyrażali najwyższe uznanie. Już na pierwszym roku studiów Zygmunt Puławski zainteresował się lotnictwem, a nie marynarką wojenną, jak pisał jeszcze niedawno w swoim pamiętniku. Poza zajęciami pracował w Sekcji Koła Mechaników politechniki. W chwilach wolnych od nauki uprawiał turystykę, wioślarstwo, kajakarstwo. Bardzo lubił jeździć na nartach. Należał do Sekcji Narciarskiej Akademickiego Związku Sportowego w Warszawie. W lecie czynnie uprawiał taternictwo. Uczył się kilku języków – francuskiego, niemieckiego i angielskiego.

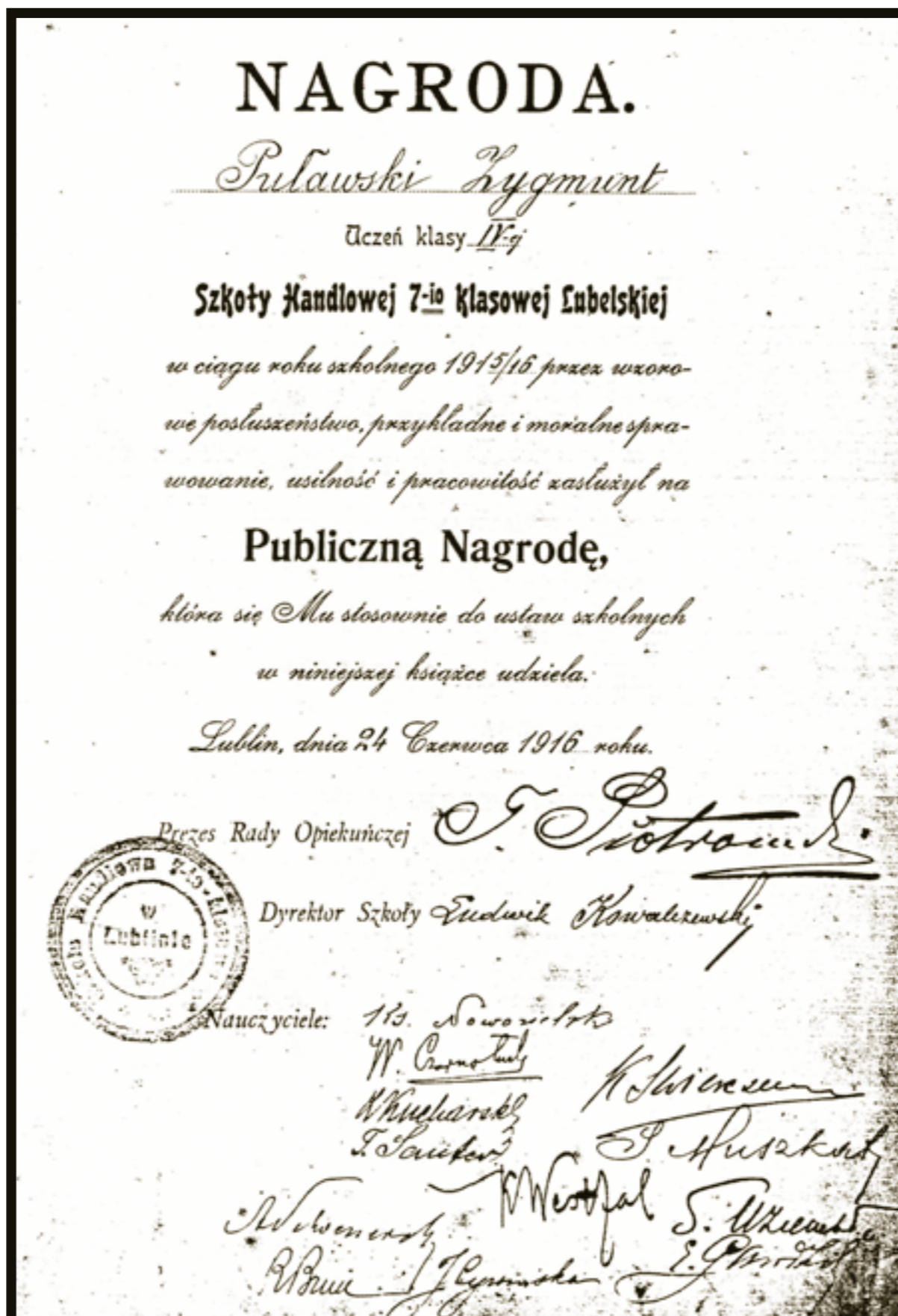
W 1923 r., wspólnie z Jerzym Bistradem, zbudował swój pierwszy „aparat latający”. Był to szybowiec nazwany SL-3, nie do końca udany. Na przełomie maja i czerwca 1925 r. szybowiec ten wziął udział w II Wszelchpolskim Konkursie Szybowców na wzgórzach w Oksywiu koło Gdyni. Pilotował go kpt. St. Jakubowski. Podczas startu szybowiec został uszkodzony, prawdopodobnie z powodu zbyt małej powierzchni nośnej. Szybowca nie wyremontowano. Uległ on ostatecznie zniszczeniu w końcu 1925 roku. Były to jednak pierwsze próby zdobywania nowej wiedzy.

W 1925 roku Departament Lotnictwa ogłosił konkurs na projekty samolotów polskiej konstrukcji. Nadesłano 15 prac, z których siedem nagrodzono. Wśród nagrodzonych był projekt samolotu Zygmunta Puławskiego – dwupłatowiec liniowy, nazwany przez Puławskiego „Skaut”. Nazwa samolotu – harcerska.

W 1925 roku Zygmunt Puławski ukończył studia z bardzo dobrymi wynikami. Niedawny udział w konkursie na projekt samolotu wojskowego umożliwił mu dalszą naukę i zdobywanie praktycznych doświadczeń na rocznej praktyce w zakładach lotniczych Bregueta we Francji. Przeszedł tam wszystkie stanowiska, od robotnika do inżyniera. W opracowaniach o Zygmuncie Puławskim znajdują się stwierdzenia, że: „(...) młody polski inżynier zaimponował francuskim specjalistom wysoką wiedzą techniczną i śmiałymi koncepcjami konstrukcji lotniczych”. Świadczyło to o zdolnościach samego Puławskiego, ale również o wysokim poziomie kształcenia na młodej polskiej uczelni.

KIEROWNIK GRUPY KONSTRUKCYJNEJ

Brat Zygmunta, Kazimierz, w swych notatkach napisał o nim: „(...) Zygmunt będąc na praktyce we Francji kupił sobie tam motocykl. Miał tam wypadek. Pozostała mu na brodzie blizna długości ok. 1,5 cm. Pamiętam to bardzo dobrze, tylko nie pamiętam, z której strony, lewej czy prawej. Opowiadał, że sam wyciągał gazę (sączek) i dlatego nie bardzo równo mu się zrosło. Do Polski powrócił tym motocyklem. Stał on dłużej czas w kuchni w domu przy ul. Zamojskiej 25/19 w Lublinie”.



Po powrocie z Francji w 1927 r. został powołany do odbycia służby wojskowej, najpierw w Szkole Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Ławicy koło Poznania, a następnie w Centralnej Szkole Podoficerów Pilotów Lotnictwa w Bydgoszczy.

Do Warszawy powrócił więc już jako pilot. Z pewnością wiedział, że 19 października 1927 roku powstał Aeroklub Akademicki Warszawski, który na początku 1928 roku rozpoczął działalność szkoleniową. Lotnictwo zawodowo, jak również lotnicza pasja sportowa, wciągnęły go na zawsze. W 1927 roku, mając 26 lat, otrzymał stanowisko kierownika Grupy Konstrukcyjnej w Centralnych Warsztatach Lotniczych w Warszawie, przekształconych w 1928 roku w Państwowe Zakłady Lotnicze. Był to – istniejący od grudnia 1918 roku – zakład specjalizujący się początkowo w remontach, a następnie w montażu licencyjnych samolotów.

W końcu 1928 roku Zygmunt Puławski opracował wstępny projekt prototypu samolotu myśliwskiego własnej konstrukcji. Już jako główny konstruktor w Państwowych Zakładach Lotniczych w Warszawie, wkładał w swą pracę dużo energii, wytrwałości i wiary w skuteczność nowatorskich rozwiązań. Jego pierwszy samolot – oznaczony PZL P-1 – stał się rewelacją na skalę światową. Puławski złamał stereotyp samolotu z dwoma płacami. PZL P-1 był też pierwszym polskim metalowym samolotem myśliwskim o konstrukcji jednoplata. Płat w kształcie skrzydła mewy w locie został wkrótce nazwany „mewim płatem”, „płatem Puławskiego” lub „polskim płatem”. Rozwiązanie to zapewniało pilotom doskonałą widoczność z kabiny samolotu do przodu, na boki i do góry, co miało kolosalne znaczenie, zwłaszcza w samolotach myśliwskich. 18 maja 1931 roku „płat Puławskiego” otrzymał patent. Również podwozie tzw. nożycowe z amortyzatorami wewnątrz kadłuba, odbiegające rozwiązaniem od dotychczasowych, zostało zastrzeżone patentem. Podwozie było wytrzymałe, chroniło amortyzatory przed zanieczyszczeniem, a w zimie dodatkowo przed niską temperaturą.

CZYSTOŚĆ LINII

Na przełomie czerwca i lipca 1930 r. PZL P-1, ze znakami SP-ADO, wziął udział w Międzynarodowym Konkursie Samolotów Myśliwskich w Bukareszcie. Pilotujący samolot płk pil. Jerzy Kossowski odniósł na nim wspaniały sukces. Wygrał 8 z 15 konkurencji, pokonując maszyny angielskie, francuskie, czechosłowackie, holenderskie i niemieckie, stanowiące wówczas czołówkę światową. Puławski przyjął to nadzwyczaj skromnie. Z uporem i pasją pracował nad kolejnymi konstrukcjami. Powstał PZL P-6. Samolot ten stanowił rozwinięcie konstrukcji P-1. Zaprezentowany w końcu 1930 r. na XII Międzynarodowym Salonie

Lotniczym w Paryżu, stał się sensacją, zwracając powszechną uwagę czystością linii. Po demonstracji własności lotnych na podparyskim lotnisku Le Bourget, specjaliści uznali go za najlepszy samolot myśliwski na świecie. Fachowa prasa donosiła: „(...) samolot ten na miłą wyprzedza wszystkie inne zbudowane na kontynencie europejskim”.

PZL P-6 zainteresowały się Estonia, Grecja, Jugosławia, Szwajcaria, Portugalia i Rumunia. Na przełomie lipca i sierpnia 1931 roku kapitan Orliński wygrał na PZL P-6 zawody lotnicze American National Air Races w Cleveland w USA. Pokonał wówczas najlepszych pilotów świata. Akrobacje Orlińskiego wywoływały entuzjazm, dając sławę konstruktorowi i wytwórni. Wraz z budową P-6 Puławski poprawił P-1 i na przełomie 1930 i 1931 roku powstała konstrukcja PZL P-8. Mimo dobrych osiągnięć nie weszła do produkcji seryjnej ze względu na brak właściwych silników. Jednocześnie z opracowaniem prototypu samolotu myśliwskiego PZL P-6 powstała konstrukcja PZL P-7, napędzana silnikiem o większej mocy. „Siódemki” zastąpiły wówczas w lotnictwie wojskowym samoloty starsze – PWS-10 i PWS-A, wchodząc do uzbrojenia wszystkich pułków lotniczych w kraju. Cieszyły się dużym uznaniem pilotów z powodu bardzo dobrych właściwości pilotażowych i dużej odporności na lądowania w terenie przygodnym.

Następny samolot PZL P-11 Puławski zaprojektował jako wzmocnioną odmianę P-6, dostosowaną do silnika o większej mocy. Równolegle pracował jeszcze nad jednym samolotem. Była to dwuosobowa łódź latająca oznaczona PZL-H. Konstruktor pracował nad nią prywatnie, choć projektem interesował się Morski Dywizjon Lotniczy w Pucku, zamawiając wstępnie kilka egzemplarzy samolotów amfibii, pod nieco zmienionym oznaczeniem PZL-12H.

OSTATNI LOT

21 marca 1931 roku konstruktor dokonywał kolejnego oblotu. Do kabiny wsiadł sam. Na prawym fotelu umocowano bryłę betonu w celu wyważenia samolotu. Wystartował z lotniska mokotowskiego w Warszawie. Było trochę grząsko i zimno. Niedługo po starcie samolot ześlizgiem zwałił się na lewe skrzydło i rozbił u zbiegu ulic Sękocińskiej, Słupeckiej i Kaliskiej, nieopodal placu Narutowicza w Warszawie. Puławski był ciężko ranny. Umarł wkrótce po przewiezieniu do Szpitala Dzieciątka Jezus.

Przyczyn katastrofy jest kilka. Oficjalnie stwierdzono, że było to tzw. przeciągnięcie samolotu. Może nogi pilota przysięgła zerwana w zakręcie niewłaściwie zamocowana bryła betonu, uniemożliwiająca mu sterowanie? A może właśnie zerwana bryła spowodowała nagły i gwałtowny zakręt i przeciągnięcie samolotu?

Pierwsze uroczystości żałobne odbyły się 24 marca 1931 roku w Warszawie w kościele Zbawiciela, po czym ciało przewieziono do rodzinnego Lublina. Następnego dnia po mszy świętej w kościele Bernardynów w Lublinie, kondukt pogrzebowy ruszył na cmentarz przy ulicy Lipowej. „Kurier Lubelski” tak relacjonował uroczystości pogrzebowe: „(...) Wśród przejmujących do głębi dźwięków marsza pogrzebowego, w pochmurny dzień marcowy, wolno i majestatycznie szedł kondukt żałobny śp. kapitana rezerwy pilota inżyniera Zygmunta Rafała Puławskiego. W powodzi kwiatów i wieńców, w blasku zapalonych pochodni, wysoko spoczywała trumna młodego lotnika na kadłubie samolotu. Na czele konduktu kroczyła orkiestra i pluton honorowy 8. Pułku Piechoty Legionów, delegacja Państwowych Zakładów Lotniczych, Aeroklubu Warszawskiego, Wytwórni Samolotów, przedstawiciele Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, tłumy znajomych, przyjaciół i kolegów”.

Zygmunt Puławski przeżył zaledwie 29 lat. To, czego dokonał w swej krótkiej karierze budzi najwyższe uznanie. Przeszedł do historii jako twórca szkoły legendarnych myśliwców z rodziny P. Dzięki jego talentom polskie lotnictwo wojskowe otrzymało jako pierwsze na świecie samoloty myśliwskie o całkowicie metalowej konstrukcji. Oblatane już po śmierci konstruktora „jedenastki” broniły polskiego nieba w 1939 roku, zwyciężając często dużo lepsze samoloty Luftwaffe, a przecież samoloty Puławskiego zostały zaprojektowane w pierwszej połowie lat 30. XX wieku. Zostały jakby zatrzymane w swej ewolucji nagłą śmiercią konstruktora. Oblotu samolotu PZL P-11 dokonano już po śmierci inż. Zygmunta Puławskiego, w sierpniu 1931 roku.

Zygmunt Puławski nie doczekał się jeszcze tablicy pamiątkowej przy ulicy Foksal, czy Zamojskiej 25. Wśród setek ulic Lublina nie ma też ulicy nazwanej jego imieniem, choć z pewnością na nią zasługuje. Klub Seniorów Lotnictwa Aeroklubu Lubelskiego występował już do Urzędu Miasta Lublin o upamiętnienie Zygmunta Puławskiego, nazywając jedną z ulic jego imieniem. Wydział Geodezji Urzędu Miasta Lublin odpowiedział, że nie widzi takiej możliwości z uwagi na fakt, że w Lublinie są już ulice o podobnych nazwach: Puławska i Pułaskiego. Podobne nazwy ulic mogłyby wprowadzać w błąd mieszkańców Lublina i przyjezdnych. Pamięć o Zygmuncie Puławskim jest jednak żywa, m.in. wśród uczniów Zespołu Szkół Ekonomicznych im. A. i J. Vetterów w Lublinie. Młodzież wraz z członkami Klubu Seniorów Lotnictwa Aeroklubu Lubelskiego corocznie porządkuje jego mogiłę i zapala na niej znicze.

Mirosław Gajewski



Puławski jako podchorąży rezerwy lotnictwa [zbiory udostępnione autorowi przez Kazimierza Puławskiego]

Źródła:

Relacje bezpośrednie i zbiory rodzinne Kazimierza Puławskiego; Sierż. pchor. Mirosław Grodzicki, fragmenty pracy dyplomowej, WOSL Dęblin; J. R. Konieczny, T. Malinowski, Mała encyklopedia lotników polskich, WKiŁ, Warszawa 1983, s. 143-150; W. Rychter, Skrzydlate wspomnienia, WKiŁ, Warszawa 1980 r., s. 151-154; A. Glass, Polskie konstrukcje lotnicze 1893-1939, WKiŁ, Warszawa 1976 r., s. 359; A. Glass, Polskie konstrukcje lotnicze, tom I, Wyd. Stratus, Sandomierz 2004 r., s. 401; R. Bartel, J. Chojnicki, T. Królikiewicz, A. Kurowski, Z historii polskiego lotnictwa wojskowego 1918-1939, Wyd. MON, Warszawa 1978 r., s. 431; A. Glass, Myśliwce Puławskiego, „Skrzydłata Polska”, 2004 r., nr 9, s. 56-57; A. Glass, Wybitny konstruktor, „Skrzydłata Polska”, 2011 r., nr 4, s. 63; Śp. Zygmunt Puławski, „Skrzydłata Polska”, 1931, nr 4, s. 79; T. Chwałczyk, Skrzydła Puławskiego, „Skrzydłata Polska”, 1981 r., nr 12, s. 11; T. Malinowski, Wielki konstruktor, „Skrzydłata Polska”, 1961 r., nr 13, s. 12-13; T. Malinowski, Puławski, „Skrzydłata Polska”, 1979 r., nr 11, s. 18-19; Zygmunt Puławski, Lotnictwo Aviation International, 1991 r., nr 3; Fotografie ze zbiorów autora, udostępnione przez K. Puławskiego.



Bukareszt, czerwiec-lipiec 1930 r., Międzynarodowy Konkurs Samolotów Myśliwskich. Od lewej inż. Zygmunt Puławski, płk pil. Jerzy Kossowski, [zbiory udostępnione autorowi przez Kazimierza Puławskiego]

Człowiek siedzący przed komputerem czy smartfonem nie widzi ludzi, których krzywdzi. Dla niego są po prostu pikselami – mówi Przemysław Staroń, nauczyciel etyki i filozofii, którego pytamy o hejt w internecie

Małgorzata Domagała: Ma pan konto na Instagramie?
Przemysław Staroń: Oczywiście. Media społecznościowe są super, jeśli chodzi o kontakt z uczniami, bo... oni tam są.

A nie denerwuje pana ten wyidealizowany świat? Panie zawsze w perfekcyjnym makijażu, ludzie w pięknych wnętrzach, uśmiechnięci.

Oglądania tego wyidealizowanego świata unikam, gdyż go nie lubię. Może dlatego, że doświadczyłem tego na własnej skórze. To jak wyjście z jaskini Platona. Jak już się przejrzy na oczy, to nie chce się wracać do ciemności. Mechanizmy psychologiczne widoczne na Instagramie zbiera w jedno zasada znana z nauk Karen Horney: „nie chcesz mnie kochać, musisz mnie podziwiać”. Ludzie, którzy mają wewnętrzne braki, niezaspokojoną potrzebę miłości i akceptacji, zamiast nadrabiać je w konstruktywne i skuteczny sposób, próbują to robić np. przesadnymi dietami, ciągłym chodzeniem na siłownię czy właśnie kreacją w mediach społecznościowych. Ja to wszystko wiedziałem, gdy zakładałem swoje konto na Instagramie. Byłem już po własnej terapii, studiach psychologicznych, a jednak wszedłem w to jak w masło. Zacząłem od swoich problemów uciekać w świat kreacji, robienia selfie itd. Nie zauważyłem, jak bardzo stało się to dla mnie ważne. Nie robiłem tego często - w porównaniu z kontami celebrytów prawie w ogóle (śmiech). Ale jednak w pewnym momencie stwierdziłem: „Po co mi to? Przecież przyczyna leży głębiej i to niczego nie rozwiązuje”. Jeśli zaspokoimy potrzeby emocjonalne, nie będziemy potrzebować przesadnie bycia podziwianymi. Odpadnie to od nas jak strup. Tak było też w moim przypadku - kiedy rozwiązałem problemy, poukladałem co trzeba w swojej głowie, straciłem też potrzebę patologicznej ekspozycji. To określenie „patologicznej” jest bardzo ważne, gdyż ekspozycja sama w sobie nie jest ani dobra ani zła - niekonstruktywna staje się wtedy, gdy kompensuje nam to, czego w naszym serduszkach nam brakuje.

Na Instagramie, i w ogóle w internecie, mówimy rzeczy, których nikomu nie powiedzielibyśmy prosto w oczy. Mam na myśli wszechobecny hejt. Z czego wynika, że odwagi do takich rzeczy nabieramy w sieci?

– Myślę, że odpowiedź nie jest taka najprostsza, jakby się wydawało. Jestem przekonany, że kiedyś przyczyną tego była anonimowość. Żyjemy w kulturze, w której szczerze wyrażanie emocji jest tak naprawdę niewskazane. Cieszysz się? To nie ciesz



Przemysław Staroń

się za mocno, bo wyjdiesz na narcyza albo zostaniesz spytany, co ópaleś. Smuczysz się? Nie pokazuj tego za bardzo, bo wyjdzie, że jesteś słabeuszem. A jeśli jesteś facetem, to w ogóle wykasuj smutek ze swojego słownika. Złóżysz się - oj, to jesteś agresywny. Kiedy pojawił się internet, ludzie w końcu mogli dać tym emocjom, wiecznie tłumionym, upust. I o ile to wyjaśnia komentarze anonimowe, nie do końca wyjaśnia te komentarze imienne, na Facebooku. Przywykliśmy, że nikt z tym nie robi, więc pozwalamy sobie na nie coraz śmielej. Jednak pod tym wszystkim leży jeszcze jedna przyczyna, powiedziałbym, że kluczowa. Psychologia opisuje to jako efekt kabiny pilota. Kiedy pilot siedzi za sterami bombowca, nie widzi rozrywanych ciał, płaczących ludzi, tego dramatu, cierpienia na dole. Tak też jest z użytkownikami internetu. Człowiek siedzący przed komputerem czy smartfonem nie widzi ludzi, których krzywdzi. Dla niego są po prostu pikselami. XX-wieczny filozof Emmanuel Levinas mówił, że kiedy spotykamy Innego, następuje epi-

fania twarzy - jego twarz krzyczy: „Nie zabijaj mnie!”. Kiedy patrzymy komuś prosto w oczy, trudno mu zrobić krzywdę. Łatwo pisać na Facebooku o uchodźcach, że powinni się utopić w morzu. Ale kiedy się spotyka człowieka uratowanego z opresji wojennej, człowieka, którego cierpienie bije z każdej komórki jego ciała, trudno mu coś takiego powiedzieć. Lekiem na hejt jest więc maksymalne zderzenie ludzi, którzy hejtują, z drugim człowiekiem, tym, którego hejtują.

A powinniśmy reagować na hejt? Na przykład, jeśli ktoś skomentował zdjęcie „próżna baba”? Taki właśnie przykład znalazłam dziś pod postem żony jednego z piłkarzy?

Tylko ustalmy jeszcze, gdzie ten hejt się zaczyna. Czy krytyka konstruktywna jest hejtem?

Krytyka nie. Ale wyrażenie „próżna baba” jednak krytyką konstruktywną nie jest, prawda? A dlaczego? A jeśli naprawdę jest próżna?

Wtedy byłaby chyba kobietą, a nie „babą”.

Ano właśnie. Konstruktywna krytyka jest wyrażana językiem szacunku. Poza tym ważne jest też, gdzie się ją wyraża: co innego napisać coś komuś pod zdjęciem, a co innego wysłać prywatną wiadomość. I w końcu: konstruktywna krytyka unika oceniania. „Jesteś próżny” to ewidentna ocena. Hejt jest rzucany, gdzie się da, często ma nie za fajny język i brakuje w nim szacunku do drugiego człowieka. Głęboką przyczyną hejtu, i od tego powinno się zacząć, jest frustracja. Mówi się, że „dziobani dziobią”. Można dodać do tego myśl Jerzego Pilcha: ranieni ranią, upokorzeni upokarzają, zdradzeni zdradzają. Hejt jest często leczeniem frustracji. Człowiek szczęśliwy nie ma potrzeby krzywdzenia innych.

Nie chodzi jednak o to, by mediów społecznościowych zabraniać, ani do nich zniechęcać. Ale gdyby miał pan podać krótką instrukcję, jak z nich korzystać, jak ona by brzmiała? Jak patrzeć na ten wyidealizowany świat, idealne życie, jeśli naszemu do ideału daleko?

We wszystkim, co robię, staram się młodzieży nie moralizować, to jest mój punkt wyjścia. Zakazywanie mediów społecznościowych byłoby bez sensu. Wielu młodych ludzi nie wyobraża sobie bez nich życia, bo są tam ich znajomi i to jest OK. Po prostu, cytując Kanta, sapere aude [„miej odwagę być mądrym” - red.]. Social media nie są ani dobre ani złe, tak jak sam świat nie jest ani dobry, ani zły. Wszystko zależy od nas, od naszej postawy, naszej dojrzałości. Nie bądźmy głupi w realu, nie bądźmy głupi w wirtualu, pamiętajmy, że świat netu ma swoją specyfikę i wymaga większej ostrożności... i tyle. A przede wszystkim - uczmy się kochać siebie i innych. I wtedy możemy posłuchać św. Augustyna, który rzekł: „Kochaj i rób, co chcesz”. No bo jeżeli kochamy, krzywdzić nie będziemy.

ROZMOWA

Przemysław Staroń,

rocznik 1985, psycholog, kulturoznawca, nauczyciel etyki i filozofii w II LO im. Bolesława Chrobrego w Sopocie. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jest nazywany profesorem Snapem, gdyż wykorzystuje Snapchata w edukacji. W ciągu pięciu lat jego uczniowie zdobyli prawie 30 tytułów olimpijskich w Olimpiadzie Filozoficznej.



KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE



Pomnik Unii Lubelskiej na placu Litewskim w Lublinie, lata 30 XX wieku, fot. Edward Hartwig, [zbiory Ewy Hartwig Fijałkowskiej]

CZĘSTY TEMAT
WYBITNEGO FOTOGRAFIKA

Edward Hartwig to zdjęcie zrobił w latach 30. W kadrze uchwycił jeden z symboli miasta - pomnik Unii Lubelskiej na placu Litewskim. Obelisk stoi do dziś, ale już bez widocznego na fotografii ogrodzenia. Zostało zdemontowane podczas II wojny światowej.

Krakowskie Przedmieście i Stare Miasto były częstymi tematami zdjęć Edwarda Hartwiga, bez wątpienia jednego z najwybitniejszych polskich fotografików.

Od 1955 do 1999 roku Hartwig miał osiem indywidualnych wystaw krajowych i ok. 30 zagranicznych w różnych częściach Europy i obydwu Ameryk. Wydał ponad 20 albumów, a jeden z nich („Fotografia”, 1958) miał ponad 20 edycji w różnych krajach. Był członkiem Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (FIAP).

Hartwig urodził się 6 września 1909 roku w Moskwie, gdzie jego ojciec, Ludwik, do rewolucji bolszewickiej prowadził dwa dobrze prosperujące zakłady fotograficzne. Po pierwszej wojnie Edward Hartwig przyjechał razem z rodzicami do Lublina. Ukończył tu Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Fotografiją zajmował się od dziecka. Zaczęło się od pomagania ojcu, który w Lublinie miał pracownię przy ulicy Narutowicza 19, tuż przy Teatrze Osterwy. Pierwszym fotograficznym tematem Edwarda Hartwiga było lubelskie Stare Miasto - ojciec dał mu aparat i wysłał, by tam zrobił zdjęcia. Było to około 1920 roku. Po II wojnie Edward Hartwig zamieszkał w Warszawie, ale do Lublina przyjeżdżał regularnie. Odwiedzał rodzinę (Ludwik Hartwig zmarł w 1975 roku). Jednak miasto mogło go interesować również z powodów zawodowych. To tłumaczy udział w hucznych obchodach 10-lecia PRL w 1954 r. roku Z tego właśnie wydarzenia zachowało się bardzo dużo zdjęć, w tym również Krakowskiego Przedmieścia.

Edward Hartwig zmarł w 2003 roku. W listopadzie 2004 roku do Ośrodka „Brama Grodzka - Teatr NN” została przekazana część spuścizny fotograficznej artysty. Materiały zostały podarowane przez córkę Ewę Hartwig-Fijałkowską podczas uroczystości nadania nazwy Zaułkowi Hartwigów. W październiku 2014 roku Ewa Hartwig-Fijałkowska przekazała kolejną część zasobu Edwarda Hartwiga. Ostatnie materiały trafiły do Ośrodka „Brama Grodzka - Teatr NN” w 2016 roku. W ten sposób Ośrodek dostał 3339 zdjęć.

W 2017 roku materiał został udostępniony online w Bibliotece Multimedialnej Teatru NN dzięki projektowi „Lublin. Opowieść o mieście”. Można je oglądać na stronie teatrnn.pl/opowiesci.

Małgorzata Domagała

GRAŁEM WIELE LAT W AIR SOFT GUN, BIEGAJĄC Z REPLIKĄ, TWORZYLIŚMY NAJROZBIŃSZE SCENARIUSZE, A AIR SOFTA POZNAŁEM DZIĘKI GROM RPG.

ZA DZIECIĄKA, W BIESZCZADACH Z KOLEGAMI BIEGALIŚMY PRZEBRANI ZA ŻOŁNIERZY I ROBILIŚMY BRONĘ Z RÓŻNYCH RZECZY - MIAŁEM MIOTACZ OGNIĄ Z ODKURZACZA.

ZACZYNAŁEM OD GIER RPG, A POTEM POZNAŁEM LARPY. STARA LUBELSKA SZKOŁA GARŚCIAMI CZERPIE Z LITERATURY - ROZBUDOWANE KARTY POSTACI, KONFLIKTY, TRAGICZNE I WIELOWĄTKOWE FABUŁY NICYM Z POWIEŚCI.

CZY TO SIĘ DZIEJE NARRATIVE!

LARP TO UDAWANIE KOGOŚ, KIM SIE NIE JEST W RZECZYWISTOŚCI. Z ANGIELSKIEGO LIVE-ACTION ROLE PLAYING - GRA W ODGRYWANIE RÓL. COŚ POMIĘDZY DZIECIĘCĄ ZABAWĄ, IMPROWIZOWANYM TEATREM I RYTUAŁEM, ŁĄCZY ELEMENTY GRY, ODWIEŚCI I SYMULACJI. LARPEM MOŻE BYĆ KILKUGODZINNE SPOTKANIE ZNAJOMYM W SALONIE Z ZAGADKĄ KRYMINALNĄ - TZW. CZAMBER, ALE I TRZYDNIOWA SYMULACJA SZKOŁY MAGII W WYNAJĘTYM ZAMKU, Z KOSTIUMAMI, CHARAKTERYZACJĄ, EFEKTAMI PIROTECHNICZNYMI - CZYLI TZW. BLOCKBUSTER. MOŻEMY SPOTKAĆ TEMATY TYPOWO FANTASTYCZNE, RZĘBYKOWE, ALE POJAWIAJĄ SIĘ TEŻ SCENARIUSZE PORUSZAJĄCE POWAŻNE PROBLEMY SPOŁECZNE NP. BEZROBOCIE, BEZDOMNOŚĆ, ALKOHOLIZM. JEDNI TWIERDZĄ, ŻE LARPY WIELE SIĘ OD RPG, INNI ŻE OD GIER HARCERSKICH, NIEKTÓRZY, ŻE GRANO JE JUŻ W STAROŻYTNYM RZYMIE.

TEKST: MACIEJ TUDRA
NAGŁOŻENIE: MARCIN SŁOWIKOWSKI
RYSUNKI: MACIEJ PAŁKA

MÓJ PIERWSZY LARP.
ROWERY, PODRÓŻE, KINO, SPORT, KOMIKS, GOTOWE RPG, CZYTAŁM DUŻO KSIĄŻEK, JEZYK OBCE, KONIE, MI PIĘKA NOŻNA.

NA PIERWSZYM ROKU STUDIÓW, NA ZAJĘCIACH Z SOCJOLOGII KAŻDY OPWIADAŁ COŚ O SOBIE. JEDNĄ Z OSÓB OPWIADAŁA O „GRACH WYOBRAZNI”.

hai, hai, ŚCIEPŁY MI NOGI...

MOJA PIERWSZA SESJA RPG TO BYŁ ŚWIAT ŚREDNIO-WIECZNEJ JAPONII. GRALIŚMY SAMURAJÓW, SIEDZIELIŚMY NA POŁE ODZE, PILIŚMY CZERWONĄ HERBATĘ Z PORCELANOWYCH CZAREK, OBOK LEŻAŁ WACHARZ MALOWANY W KWIATY.

PROFONUJĘ SESJĘ W WAMPIRA! ZEW CHTULHU!

LUDZIE, KTÓRYCH WTEDY POZNAŁEM MÓWILI, ŻE CHODZĄ „NA SEKTĘ”, KTÓRA OKAZAŁA SIĘ STUDENCKIM KLUBEM FANTASTYKI „GRIMUAR”. TAM W 2006 ROKU ZAGRAŁEM SWOJEGO PIERWSZEGO LARPA.

„SO HELP ME GOD”

BYLIŚMY SĘDZIAMI PRZYSIĘGNI W AMERYKAŃSKIM PROCESIE. JAK W „DWAŃNAŚTU GNIEWNYCH LUDZIACH” ALBO NAJLEPSZYCH KRYMINALACH GRISHAMA. TAK NAM SIĘ TO Z KOLE ZANĘŁO SPÓDOBAŁO, ŻE POSTANOWILIŚMY NAPISAĆ SWÓJ SCENARIUSZ.

PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ.

RÓŻE POGORZELISKA. OTWARCIE TESTAMENTU „HRABIEGO”. NIE WIADOMO KTO OTRZYMA MAJĄTEK. NA JAW WYCHODZĄ TAJEMNICE PRZESZŁOŚCI I RODZINNE DRAMATY.

TESTAMENT!

NA POLTER.PL PRZECZYTAŁEM ARTYKUŁ: „NAJBARDZIEJ STANOWIŁY POMYSŁY NA LARPY.” I TO BYŁO NA PIERWSZYM MIEJSCU.

PÓŹNIEJ DOWIEDZIAŁEM SIĘ, ŻE W ŚRODOWISKU TO NAJBARDZIEJ OKLEPANY MOTYW... ALE SCENARIUSZ JEST CIĄGŁE GRANY. W TAMTYM ROKU PO RAZ DZIESIĄTY, NA MŁODZIEŻOWYCH OBOZACH, GDZIE MOŻNA NAUCZYĆ SIĘ LARPOWAĆ.

ZAGRAJMY!

WYBIERZ MĄDRZE, NEO!

ATMOSFERA NAKRĘCA SIĘ JESZCZE PRZED STARTEM GRY. NA PORZĄCACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH POJAWIAJĄ SIĘ ZAPOWIĘDZI, FRAGMENTY OPWIEŚCI, CZASEM TRAILERY. GRACZE PRZYGOTOWUJĄ KOSTIUMY, CHARAKTERYZACJĘ I WSPÓLNIE NAKRĘCAJĄ SIĘ NA GRĘ.

CZYTA SIĘ TO JAK NIEŻŁĄ KSIĄŻKĘ!

W ZALEŻNOŚCI OD LARPA, POSTAĆ MOŻEMY STWORZYĆ SAMI ALBO DOSTAĆ GOTOWĄ KARTĘ POSTACI, OPISUJĄCĄ JEJ PRZESZŁOŚĆ, CHARAKTER, CELE, RELACJE, MARZENIA... NAJKRÓTSZA KARTA POSTACI JAKĄ WIDZIAŁEM ZAWIERAŁA TRZY PRZYMIOTNIKI. NAJDUŻSZA - 40 STRON TEKSTU.

NIE ZYJESZ!
KONAM! PLACZEE!

W CZASIE GRY RAZEM Z POSTACIAMI PRZEŻYWAJEMY PRZYKŁADY, ROZWIĄZUJEMY ZAGADKI, KNUJEMY INTRYGĘ, KOCHAMY, NIEMAWIDZIMY, WALCZYMY. WALKĄ MOŻE BYĆ ROZSTRZYGNIĘTA NA PRZYKŁAD RZUTEM KOŚCMI ALBO WIDOWISKOWO ODGRANA.

WYDAWAŁO MI SIĘ, ŻE CWCZESZ, MINIE POSTRZELIC Z UKRYTEGO SAMOPAJE.

GO?

PO LARPIE DŁUGO JESZCZE BUZUJĄ EMOCJE, WSZYSCY WYMNIEMAJĄ SIĘ HISTORIAMI. POZOSTAJĄ NIESAMOWITE ZDJEĆCIA. ZAWIERAJĄ SIĘ NOWE ZNAJOMOŚCI, CZASEM WIELOLETNIE PRZYJAŹNIE.

CZY TO WSZYSTKO PRAWDA?

DWA MNIE W LARPACH NAJWAŻNIEJSZE SĄ EMOCJE, KLIMAT, OPWIEŚĆ, WCIELENIE SIĘ W KOGOŚ INNEGO. BYWAJĄ LARPY, PO KTÓRYCH POTRZEBA CZASU ABY ODHODZIĆ. NAWET JEŚLI HISTORIE SĄ ZMYŚLONE TO DOŚWIADCZENIA SĄ PRAWDZIWE.

KĄDZY BOHATER COŚ W TOBIE ZOSTAWIA. PRZYKŁAD? JESTEM NAJSTARSZY Z TRÓJGA RODZENSTWA. ROLA MŁODSZEGO BRATA NA LARPIE „BAL MARIONETEK” POZWOLIŁA MI ZROZUMIEĆ, JAK TRUDNO JEST DORASTAĆ W CIENIU I WYBRAĆ WŁASNĄ, DROGĘ WBRĘW OZĘKIWIANIEM.

INNY PRZYKŁAD - MAM NA KONCIE KILKA CZARNYCH CHARAKTERÓW. NAGLE OKAZUJE SIĘ, ŻE MAJĄ TAK WŁOŻONY SYSTEM WARTOŚCI, ŻE W SWOIM ODCZUCIU WCALE NIE SĄ ŻŁI. DOBRZE NAPISANY VILLAIN NIE DA SIĘ „WYBIELIĆ”.

TAKĄ ROLĄ BYŁ DLA MNIE PADALEC, KTÓRY BYŁ W STANIE POŚWIĘCIE WSZYSTKO DLA WŁASNEJ CHCIOŚCI. MOŻNA MIEĆ KACA MORAŁNEGO.” DZIĘKI LARPOM UCZYMI SIĘ WIELE O SOBIE I O ŚWIECIE. ROZWIJAJĄ SĄŁECZNIE...

...UCZĄ EMPATII, POMAGAJĄ OTWÓRZYĆ SIĘ NA LUDZI, ODNALEZĆ SIĘ W KAŻDEJ SYTUACJI.

ZAUJĘ, ŻE NIE MOGĘ JESZCZE RAZ ZAGRAĆ SWOJEGO PIERWSZEGO LARPA.

CZY MY TEŻ MOŻEMY ZAGRAĆ W LARPA?

JASNE! ZAPRASZAM!

HE HE HE

WUJELBIAM GRAĆ Z LUDZMI, KTÓRYCH WCZĘSNIJ NIE LARPOWALI. TEN BEYSK W OKU, KIEDY ZDĄJESZ SOBIE SPRAWĘ, ŻE JESTEŚ GŁĘBOKĄ PERSONĄ DRAMATU I WSZYSTKO JEST W TWOICH RĘKACH.



MARCIN „SŁOWIK” SŁOWIKOWSKI

- Z WYKSZTAŁCENIA KULTUROZNAWCA, Z ZAMKOWANIA LARPOWIEC. BAKCYLA POKNĄŁ 12 LAT TEMU. LARPY GRA, TWORZY I POPULARYZUJE - NAPISAŁ TEŻ O NICH MAGISTERKĘ NA UMCS. WYCHOWANIEK LUBELSKIEJ SZKOŁY LARPOWEJ, CZŁONEK KLUBU GRIMUAR I GRUPY LUBLARP, SĘDZIA I ORGANIZATOR KONKURSÓW LARPOWYCH, UCZESTNIK I MÓWCA KONFERENCJI: KOLA, KNUDEPUNKT ORAZ TEDXLUBLIN. WSPÓŁORGANIZATOR PIERWSZEGO W POLSCE CYKLU SZKOLEŃ LARPOWYCH - LUBLARP. KOORDYNATOR PROGRAMU KONFERENCJI LARPOWEJ 2017 W LUBLINIE, POMYSŁODAWCA I REDAKTOR PUBLIKACJI „KOLAŻ. O LARPACH INACZEJ.”

DZIĘKI LARPOM PRZEŻYŁ PONAD 100 RÓŻNYCH ŻYC.

ZRÓB TO SAM, czyli JAK CAŁOWAĆ SIĘ W LARPACH.

NA LARPACH NIE TYLKO WALCZYMYNA MIECZE, CZASAMI ZDARZA SIĘ NIEWINNY FLIRT, A NAWET POCAŁUNEK - NAZYWAMY GO POCAŁUNKIEM TEATRALNYM.

SKŁADAJĄC DEONIE NA TWARZY OSOBY CAŁOWANEJ, UKRYWAMY KCIUKI UMIESZCZONE NA JEJ USTACH.

ODGRYWAMY NAMIETNY POCAŁUNEK (CAŁUJEMY WŁASNE PALCE).

W KOLEJNYM ODCINKU:

WATEK MIŁOŚNY TRWA...

The End

ZOBACZYĆ TO, CO NIEWIDOCZNE LUBLIN, KTÓREGO NIE MA

Mieszkam od lat na Starym Mieście w Lublinie. I często zastanawia mnie owa pustka wokół Zamku, na błoniach, na placu Zamkowym. Wiem, mieszkali tu Żydzi wymordowani w czasie Holokaustu. Ale ta pustka czasami mnie dopada. Najczęściej wcześniej rano, gdy wychodzę i mam wrażenie, że za chwilę obudzi się miasto. Wyjdą licznie z bram i zaułków. Ubrani w chałaty, z brodami, ale i noszący się po naszymu, zasymilowani. Ktoś powie – minęło 75 lat, kilka pokoleń. Nikt już prawie nie pamięta tamtego Lublina. To prawda. Ale i nieprawda.

Andrzej Stasiuk w swojej książce „Wschód” pisze o Lublinie, o moim już Starym Mieście: „Na Lubartowskiej, na dworcu, spacerując z wózkami po błoniach u stóp Zamku, biegając w dresach. Czy to się tak bardzo różni od noszenia ubrań po nich? Wsuwać ręce w rękawy, wsuwać ciało w miejsce ich ciał w przestrzeni. Gdzie jest granica między szabrem, koniecznością a oczywistością? Nie do rozstrzygnięcia. Cudze, niczyje, moje. »A co? Miało tak leżeć? A co? Miało tak stać?«. Więc weszliśmy w ich życie, nie dzieląc ich losu, bo ktoś by chciał albo śmiał. Żyjemy na zgłiszczach, mamy zwęgloną, martwą pamięć. Pustą.

Więc Lubartowską w dół i potem znów na dworzec. W kółko. Żeby patrzeć na ludzi, którzy wypełniają tę przestrzeń nie do wypełnienia. Są zziębnięci i cisi. Stoją oddzielnie. Młodzi czasem razem. Nie piszę o Żydach. Piszę o nas. O tych, którzy zostali. O tym, że wypełniliśmy przestrzeń, z której zniknęli. Ze swoim życiem próbujemy wypełnić miejsce po ich życiu. (...)

Weszliśmy do cudzych domów i w szafach rozkładaliśmy nasze rzeczy. Mówiliśmy: »To są niczyje domy, niczyje szafy« i układaliśmy nasze rzeczy. Patrzyliśmy przez cudze okna, myśląc, że to jest nasz widok. A skrywał miliony cudzych spojrzeń, które zostały zwęglone i niewidzialny popiół spadł na nasze dni”. Tak. Wędrowcy, przejeżdżający przez Lublin, opisują ową pustkę, która zaskakuje, gdy pierwszy raz wejdzie się w te ulice, zaułki. My się już „przyzwyczailiśmy”.

Ale można też próbować inaczej patrzeć, tak, jak proponował Władysław Panas już w pierwszych słowach swojego „Oka cadyka”. „Alef* Dopiero z nieba – i tylko z nieba – widać tę przenikliwą osobliwość Miasta. Z nieba, czyli z góry, z pewnej wysokości. To, o czym mówię, może zobaczyć każdy bez wyjątku,

każdy, kto ma oczy do patrzenia, ale pod warunkiem, że będzie patrzył z niebieskiego punktu widzenia. Z ziemi nic nie widać. Chociaż, to fenomen tajemniczy i nieprawdopodobny, pewnie mistyczny, jest całkowicie postrzegalny zmysłowo. Po prostu: widoczny gołym okiem. Trzeba tylko oderwać się od ziemi i unieść ciało i duszę – choćby samą duszę – ku niebu, do górnego świata. Trzeba posłuchać poety, gdy mówi: »słuchaj rad / wewnętrznego oka«. W ostateczności można posłużyć się fotografiami wykonanymi z lotu ptaka. Objawi się wówczas niezwykle obraz, nie mam wątpliwości, największa osobliwość Miasta. Obraz wstrząsający. Już teraz wyprzedzający. Już teraz powiem... że jest to czysta epifania Enigmy... że będziemy mieli do czynienia z wielką »intrygą Nieskończoności».

Tyle Panas, próbujący opisać doświadczenie „Oka cadyka” – co to takiego, proszę zapoznać się z tym tekstem. Jednym z najpiękniejszych napisanych o niewidocznym Lublinie. Dlatego ciągle wierzę, że to, co najważniejsze, najpiękniejsze jest niewidoczne dla oczu. Może czasami związane z tragedią, ale potrzeba owego wewnętrznego oka, aby tak w ogóle poradzić sobie z codziennością.

Tomasz Dostatni OP

Poezja jest dla ludzi, jest wolnością słów, jest słowem właściwie użytym – warto przy niej obstawać. Zwłaszcza dziś, w świecie słów na posyłki, słów udreżonych i oglupiałych, warto słuchać wierszy, warto wsłuchiwać się w ich słowa: wolne, odważne, brzmiące mocno i czysto, konieczne – jak oddech.

Paweł Próchniak

Kazimiera Hłakowiczówna

Wszystko, co będę miała

Będę miała gronostaje i lisy, kapelusze duże i obłoczne, tylko jeszcze podumam, poczekam, tylko jeszcze na chwilę odpocznę.

Będę miała w pozłacanej obroży malutkiego bonończyka na sznurku, tylko jeszcze popatrzę, posłucham, jak się kłóca wróble na podwórku,

jak się pajak, spuszczonej po rękę, cienkiej nitki mocno, mocno czepia, jak wieczorem z pnia grubej akacji patrzają sowy krągłe, krasne ślepia.

Będę miała błyszczące lakiery małe – ledwo się zmieszczą na dłoni – i ogromny sapiący samochód, co pojedzie z siłą dwustu koni.

Będę miała walansjony, koronki, przezrocyste batysty i tiule, tylko jeszcze raz cichutko przeliczę te podarte cztery biedne koszule;

te, przez które jak przez siatkę przejrzystą przeblyskuje z każdym ruchem skóra, że ja nawet sama nigdy nie wiem, gdzie się kończy koronka, gdzie dziura;

tylko jeszcze raz przesunę, nawłokę sama wstążki – wyblakłe, różowe, zacerują cienką, cienką nitką ramię coraz bardziej „koronkowe”.

Tylko jeszcze raz z głębokim westchnieniem na dno samo koszyka położę wszystko, co się stało siatką samą, czemu żadna igła nie pomoże...

Przedruk za:
Kazimiera Hłakowiczówna, *Poezje*,
wybrała i wstępem opatrzyła
Matylda Welna, Lublin 1989,
s. 82-83.



WYDAWCA
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
POMYSŁODAWCA, KOORDYNATOR PROJEKTU
Tomasz Pietrasiewicz
REDAKTOR PROWADZĄCY
Małgorzata Domagała
REDAKCJA
Marcin Fedorowicz, Grzegorz Jędrak, Łukasz Kijek,
Agnieszka Łakocy-Sulej, Piotr Nazaruk, Maciej
Pałka, Maciej Tuora, Wioletta Wejman, Joanna Zętar
STAŁA WSPÓŁPRACA
Tomasz Dostatni OP,
Paweł Próchniak,
Marcin Bieleś
OPIEKA WYDAWNICZA
Agnieszka Wiśniewska
KOREKTA
Teresa Markowska
LAYOUT
Małgorzata Rybicka
SKŁAD
Monika Tarajko
FOTOEDYCJA
Karol Grzywaczewski
DRUK
Petit S.K. Lublin
DYSTRYBUCJA
Magdalena Krasuska
NAKLAD
3000 egzemplarzy
Gazeta dostępna również
na stronie internetowej
teatrn.pl/para
KONTAKT Z REDAKCJĄ
e-mail: pa.ra@tnn.lublin.pl
ul. Grodzka 21.20-112 Lublin
tel.: 81 532 58 67



LUBLIN
1918 — 2018
Inspiruje nas wolność

INSTYTUCJA
KULTURY
MIASTA LUBLIN

Lublin
MIASTO INSPIRACJI

Przegląd retro-prasy

Pod Bramą Krakowską pobili się szklarze

W dniu wczorajszym na placu przy Krakowskiej Bramie wybuchła awantura pomiędzy stojącymi tam szklarzami Joskiem Halpernem, Ruska 30 i Chilem Zubersztajnem, Krzywa 10. Tłem awantury były rachunki osobiste. W czasie kłótni Josiek porwał za skrzynię z szybami rywala i wszystkie szyby potłukł. Zubersztajn nie pozostał dłużny i wytłukł również wszystkie szyby ze skrzyni przeciwnika. Następnie obaj porwali się na siebie i rozpoczęli się okładać pięściami. Dalszej bójce przeszkodził przybyły policjant, który obu szklarzy poprowadził do Komisariatu.

„Ziemia Lubelska”, 22 stycznia 1931

Rozmowy telefoniczne z Gdańskiem

Od 1 h.m. zaprowadzono między Polską a w. m. Gdańskiem rozmowy prasowe i rozmowy abonamentowe w porze nocnej ze zniżką 50 proc. Rozmowy prasowe mogą być prowadzone w czasie między 6 wieczór, a godz. 9 rano, pomiędzy redakcjami gazet, czasopism i agencjami prasowymi z telefonów abonamentowych lub z publicznych mównic za okazaniem legitymacji, wystawionej przez Wydział prasowy Min. spraw zagranicznych.

„Głos Lubelski”, 3 stycznia 1924

* Z dniem 12 h.m. został otwarty Skład mydła pod firmą Franciszek Rój przy ulicy Królewskiej NR. 9. (zakład szcztokarski p. Wasilewskiego). Na składzie świece, pasty do obuwia, smary, farby, soda i t.p. Oraz materiały do wyrobu mydła. Ceny hurtowe ściśle kalkulowane.

„Ziemia Lubelska”, 16 kwietnia 1919

Co wróżą gwiazdy na dzień 28 czerwca?

Za dnia trochę niepokoju, wieczorem – miłe nastroje. Dzień dzisiejszy może przynieść pewne podrażnienie lub niepokój nerwowy, co odnosi się zwłaszcza do godzin rannych. To też rankiem lepiej troszczyć się o zachowanie równowagi i nie pozwalać się unosić impulsom, aby nie wywoływać niepotrzebnych nieporozumień; dotyczy to zwłaszcza stosunków z podwładnymi. Przed samym południem może się dać odczuć wpływ mniej pomyślny, przynoszący jakieś drobne niepokoje w związku z korespondencją lub podróżami, ewentualność nieporozumień z krewnymi lub niepowodzenia w pracy umysłowej. Godziny późniejsze przyniosą ogólną poprawę, budzą energię, przedsiębiorczość oraz chęć zwalczania przeciwności życiowych. Wieczór dzisiejszy zapowiada się dodatnio; zwłaszcza koło godz. 21-ej da się odczuć miły nastrój, wesołość, a sympatyczne towarzystwo w tym czasie może nam dostarczyć przyjemnych wrażeń. Dziecko dziś urodzone – bystre, przedsiębiorcze, utalentowane – ale również dość drażliwe i gniewne – może osiągnąć powodzenie w zawodach związanych ze sztuką.

„Express Lubelski”, 28 czerwca 1929

„Do krwi ostatniej kropli z żył”...

bronieć będziemy ducha – śpiwaliśmy to już wiele



Ćwiczenia w siedzibie Ochotniczej Straży Ogniowej przy ulicy Strażackiej. Fotografia z albumu przedstawiającego działalność Straży Pożarnej w Lublinie w latach 30. XX wieku [Zbiory prywatne]

razy. Chwila jest poważna. Ataki i zakusy Niemców na nasze Pomorze zmagają się. Liga Morska i Kolonialna na akcje utrwalenia posiadania przez Polskę morza i rozbudowę floty – wymaga drobnej ofiary 2 zł za losy loterii fantowej. Wśród wygranych są automobile, pianina, wycieczki po Bałtyku i do Paryża, sztaby złota i srebra, rowery, maszyny do szycia, meble, aparaty radiowe i fotograficzne itp. Ciągnienie loterii odbędzie się dnia 15 czerwca r. b. Losy do nabycia we wszystkich kolekturach Loterii Państwowej oraz w administracji „Expressu Lubelskiego”, Lublin, Kościuszki 8. Nabądźcie losy loterii. Nie zwlekajcie!

Fatalny upadek ze schodów. Staruszka złamała rękę. W domu przy ul. Szerokiej 39 miał miejsce następujący nieszczęśliwy wypadek. Chana Cukier, licząca 65 lat życia, schodząc ze schodów, wskutek fatalnego ich stanu, potknęła się i upadła odnosząc prócz ogólnego potłuczenia, złamanie lewej ręki powyżej stawu łokciowego.

Nieszczęśliwą staruszkę Pogotowie Ratunkowe, po udzieleniu pierwszej pomocy, odwiozło w stanie groźnym do szpitala żydowskiego.

„Ekspres Lubelski”, 9 czerwca 1931

* Wyjazd służbowy wojewody lubelskiego. W dniu wczorajszym wojewoda lub. dr Józef Różniński wyjechał do Warszawy w sprawach służbowych.

* Ujęcie złodzieja. W związku z kradzieżą bielizny na szkodę Ryfki Kac, ul. Kalinowszczyzna 45, policja po przeprowadzeniu dochodzeń zatrzymała sprawcę kradzieży w osobie Wacława Procha, ul. Białkowska Góra 7.

* Codzienne kradzieże. Tomczykowi Szczepanowi, zamieszkałemu na Sławinku, skradziono w czasie zabawy w parku sławinkowskim z kieszeni 24 złote gotówką. Na szkodę Karola Hessa, ul. Lubartowska 50, skradziono 50 belek do wag wartości około 100 zł. Z mieszkania Jachwety Sobol, ul. Mostowa 11, skradziono różną garderobę i bieliznę wartości 150 zł.

„Głos Lubelski”, 12 lipca 1934